

## Krystyna Janda

Shirley Valentine, która kiedyś miała marzenia (chciała zostać stewardessą!), od lat wiezie życie kury domowej i żony. Rozgoryczona beznadzieją wegetacji i domową krzątanią – obowiązkiem codziennego oczekiwania z gotowym obiadem na powrót męża z pracy, wspomina młodość i popija wino (Dobre wino. Czasem to mi się trafi taki kwasieluch, że gębę wykrzywia). Dla męża jest tylko maszyną do gotowania i sprzątaczką (zaraz przyjdzie tu Pan i Władca, i ten mi dopiero da popalić! Wiesz, jaki on jest! (...) Staje w drzwiach, a micha ma się tu dymić!). Dla dzieci – piątym kołem u wozu, zrzędliwą panią w średnim wieku. Jedyną, choć zawsze wierną słuchaczką jest kuchenna ściana (za którą toczy się prawdziwe życie). Zadręcza ją swoimi wątpliwościami, ale też marzeniami o bogatym, pełnym przygód i uczuć życiu. Podsumowuje jednocześnie własną przeszłość (A kim ty jesteś teraz? A pamiętasz Shirley Valentine? Ściana, pamiętasz, jaka była? Jak często się śmiała?... Boję się, że za ścianą nie ma już dla mnie miejsca. Jeszcze tam do niedawna trzymali dla mnie miejsce, ale jak się zorientowali, że nie przychodzę, to se dali spokój).

Shirley, Święta Joanna od zlewozmywaków, patrzy z zazdrością na koleżanki, które, pozbawione ciężaru rodziny, cieszą się życiem w całej krasie, podróżują po świecie i oczywiście lepiej wyglądają. Nie ma jednak dość odwagi, by zacząć realizować swoje dawne pragnienia. Pewnego dnia otrzymuje jednak szansę, by swoje marne życie choć na chwilę zmienić na to wymarzone. Może wyjechać na wysnioną wycieczkę do Grecji. Po długich przemyśleniach i rozterkach (On by mi dał Grecję! Ja idę na trzy minuty do ubikacji, a on myśli, że mnie terroryści porwali.. Co tu mówić o jechaniu, jak ja w ogóle nie potrafię sobie wyobrazić, że ja mu mówię, że jadę!) ulega wreszcie namowom przyjaciółki i pakuje walizki (ja cały miesiąc się szykowałam.. prałam, sprzątałam, zmywałam, gotowałam, zamrażałam w zamrażarce, mama przyjdzie tu co wieczór, odgrzeje mu; jak dobrze pójdzie, on w ogóle nie zauważy, że mnie nie ma!.. Jadę i pierwszy raz w życiu będę robiła wszystko to, na co nigdy nie miałam odwagi. Będę się kąpała. Opałała. Jadła oliwki! Nienawidzę oliwek! Ale się ZATNĘ i będę je jadła! I będę sobie mówiła: Shirley jest niezłe! Mam paszport! Mam bilet! Mam pieniądze! Jane przyjedzie w pół do czwartej! Taksóweczką!).

Shirley decyduje się na odrobinę szaleństwa. Zamienia kuchenną ścianę na nadmorską skałę (To jest grecka skała. Mówię do niej cały czas. Ni cholery! Nic nie rozumie!...) i wyrusza w podróż życia.\*

\* Wypowiedzi Shirley Valentine są fragmentami sztuki Willy'ego Russella w przekładzie Małgorzaty Semil

Na wszystkich zdjęciach z „Shirley...” wyglądam tak, jakbym sobie bimbała, odpoczywała, miała miło, ba, rozkosznie! Bawiła się z wielką przyjemnością i w całkowitym rozluźnieniu. I co więcej, to prawda. A dziś, po tylu godzinach na scenie z Nią, przygodach, zdarzeniach, podróżach (trzy razy w Ameryce, Australii, Kanadzie), po tylu salach teatralnych w Polsce, mogę ją grać zawsze, wszędzie i właściwie w każdej kondycji, w przeciągu i na drągu. Byłam kiedyś na Manhattanie bliska zagrania tego bez dekoracji i rekwizytów, bo siedziała cała sala, a ciężarówki ze wszystkim nie dojechały. Zagrać jako ćwiczenie z nieistniejącym przedmiotem. Nie miało to dla mnie już większego znaczenia. Na szczęście, kiedy weszłam na scenę, żeby objaśnić publiczności, z jak dziwnym niespodziewaniem spektaklem będą za chwilę mieli do czynienia, spostrzegłam, że jeden z maszynistów, w desperacji, nie szukając już tylnego wejścia, przedziera się przez salę z kuchenką gazową na plecach. Właściwie żałuję, byłoby to ekscytujące przeżycie, taki spektakl, taka próba.

Czy Shirley bardzo zmieniła się przez te 11 lat od premiery?

Myślę, że spektakl zmienił się na tyle, na ile ja zmieniłam się przez te lata. Został temat, problem, konstrukcja, powód, dla którego opowiadam tę historię, a Shirley zmienia się razem ze mną. Zresztą ja już tego nie gram. Ja nią jestem. Staję się nią, przekraczając linię sceny i kulis (...). A przyjemność bycia Shirley, radość, którą ja odczuwam – mam wrażenie – przenosi się na publiczność.

Fragment rozmowy Doroty Wyżyńskiej z Krystyną Jandą,

Gazeta Wyborcza, 7 sierpnia 2001

•

W grudniu na afiszu (...) „Shirley Valentine” (...). To będzie nowa wersja?

– Nowa chyba nie, zobaczymy tylko, jak sprawdzi się w nowej przestrzeni i jaka Shirley „ze mnie wyjdzie” po tak długiej przerwie i tylu zmianach. Bo niewątpliwie po tej przerwie, po tej życiowej decyzji, (...) po nowych doświadczeniach, jestem innym człowiekiem i inną kobietą. A Shirley zawsze żyła jakby ze mną i zmieniała się ze mną. Jestem mniej ufna, mniej naiwna i mniej radosna, to pewne i może tych kolorów, brzmiących dotąd w Shirley szczerze, będzie trochę brakować. Z drugiej strony grałam ją tyle lat i w tak różnych miejscach, mogę to zagrać „i na drągwi w przeciagu”, jak się przez te lata śmiałam. (...) „Shirley Valentine” jest prezentem i dla mnie i dla tych, którzy lubią ten spektakl.

Fragment rozmowy Doroty Wyżyńskiej z Krystyną Jandą,

Gazeta Wyborcza, 28 października 2005 r.

Wczoraj na Shirley kupiono dodatkowo 120 wejściówek. Teatr nabity do ostatnich granic. Co to jest za zabawa z tą Shirley!? Najzabawniejsze jest to, że i mnie ten tekst i ta kobieta, którą gram, śmieszy i wzrusza nieodmiennie, za każdym razem. A może to kabotyzm? Lubię to grać jak diabli! Dobrego dnia. Dziś wieczór znów Shirley, więc dzień będzie miły.

7 lutego 2001

•

Tyle wspomnień, tyle zdarzeń związanych z tą rolą, od samego początku.... jadąc na próbę generalną „Shirley Valentine”, tuż przed premierą, miałam dość poważny wypadek samochodowy. Zabrano mnie do szpitala, zbadano i czekaliśmy (...). Nic się nie stało. Premiera się odbyła, Jędrzek urodził się w terminie, mimo że podczas całej ciąży „wariował” w brzuchu, szczególnie kiedy byłam na scenie, i robił mi psikusy, dostawał np. czkawki tam w środku to w najcichszych momentach. Kiedyś, będąc już chyba końcówce ósmego miesiąca ciąży, tuż po premierze, grałam we Wrocławiu, „po znajomości”, bo już nie powinnam się ani ruszać z Warszawy, ani tym bardziej grać i nagle poczułam na scenie, że właśnie chyba się zaczęło i oto ... rodzę.

Dograłam jakoś pierwszy akt do końca i w przerwie szybko, zostawiając nieświadomą publiczność popijającą kawę i palącą papieroski, pojechałam do pobliskiego szpitala. Zbadano mnie i oświadczone, że mam się natychmiast położyć i czekać na poród, w tym szpitalu, we Wrocławiu. Bóle natychmiast mi przeszły, wróciłam to teatru, dograłam spektakl do końca, ku uciesze rozbawionej nim publiczności, i spokojnie wróciłam do Warszawy, do porodu już „zalegając” w łóżku.

9 kwietnia 2001